

Silvana De Mari



ostatnie  
zaklęcia



## Silvana De Mari

urodziła się w 1953 roku w miasteczku Caserta pod Turynem. Została chirurgiem i wykonywała ten zawód najpierw we Włoszech, a następnie w Etiopii jako wolontariuszka. Obecnie zajmuje się psychoterapią. Jest autorką licznych powieści, a także esejów poświęconych literaturze fantasy. Za powieść *Ostatni elf* (2004, W.A.B. 2008) uhonorowano ją Nagrodą Bancarellino oraz Nagrodą Andersena. Kolejna część cyklu, *Ostatni ork*, została uznana we Włoszech za najlepszą książkę dla młodzieży wydaną w latach 2004–2005, zdobyła również międzynarodową nagrodę IBBY. Nakładem Wydawnictwa W.A.B. powieść ta ukazała się w 2009 roku, w dwóch tomach zatytułowanych *Ostatni smok* i *Ostatni ork*. Także najnowsza część (2008) – uważana za najlepszą z dotychczasowych – ukazuje się w Polsce w dwóch tomach: *Ostatnie zaklęcia* oraz *Powrót królów*. W przygotowaniu kolejne tomy. Prawa do serii zakupiło kilkunastu wydawców z całego świata.

Silvana De Mari

# Ostatnie zaklęcia

przełożyła Anna Filip



wydawnictwo  
**ab**  
two

W cyklu:

*Ostatni elf* (W.A.B. 2008)

*Ostatni smok* (W.A.B. 2009)

*Ostatni ork* (dalszy ciąg *Ostatniego smoka*; W.A.B. 2009)

*Ostatnie zaklęcia* (W.A.B. 2011)

*Powrót królów* (dalszy ciąg *Ostatnich zaklęć*; W.A.B. 2011)

*Rankstrail* (w przygotowaniu)

*Ostatnia przepowiednia* (dalszy ciąg *Rankstraila*, w przygotowaniu)

Tytuł oryginału: *Gli ultimi incantesimi*  
Copyright © 2008 Adriano Salani Editore s.r.l. This edition published  
by arrangement with Grandi&Associati  
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2011  
Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2011  
Wydanie I  
Warszawa 2011

*Wszystkim naszym dzieciom,  
tym, które narodziły się z naszych ciał,  
tym, które po prostu istnieją na tej planecie,  
lecz które są nasze, ponieważ przyjęliśmy na siebie  
odpowiedzialność za ich życie,  
wszystkim tym, które pozwoliły nam dostąpić zaszczytu kojenia ich płaczu,  
rozgrzewania ich, kiedy było im zimno,  
pozwalając nam tym samym czuć się podobnymi do Boga  
i dając nam odwagę potrzebną, by spojrzeć w twarz  
aniołowi śmierci, kiedy nadejdzie chwila,  
w której nasze serce się zatrzyma.*



księga pierwsza  
Ostatnie zaklęcia



# I

## Król zdrajców

*„Jak już jest źle, to może być tylko gorzej.”*



ak już jest źle, to może być tylko gorzej. Ojciec powtarzał mi to co chwila, a ja wciąż o tym zapominam i zaczynam w coś wierzyć. A potem, jak zwykle, łąduję po kolana w błocie i zdaję sobie sprawę z tego, że po raz kolejny w nie wpadłem, zapominając, że jak już jest źle, to może być tylko gorzej. Niech to diabli! – powiedział karzeł Inskay. – Gdyby tak wszystkie moje nadzieje, które kiedykolwiek żywiłem, a które potem łądowały w świńskim korycie, poukładać po kolei, jedna za drugą, jak kamyczki na drodze, to utworzyłyby one rządek, sięgający do samego morza – dodał zrozpaczony.

Drugi karzeł, który dzielił z nim celę, były nadworny Błazen, a obecnie więzień, odpowiedział pogodnym, niemalże wesołym głosem:

– To prawda, zawsze mogłoby być gorzej: zamiast powiesić, mogli by nas zamknąć w klatce i umieścić ją na murach miasta, żebyśmy umarli w niej z zimna albo zostali zjedzeni żywcem przez sokoły. Jak jest źle, to może być też lepiej – stwierdził pogodnie. – Kiedy sądzisz, że zobaczyłeś już wszystko, co miałeś zobaczyć, i że posiadłeś wszystko, co ci się należało, wtedy słońce wschodzi na nowo; nastaje kolejny świt i do zobaczenia jest coś, czego wciąż jeszcze nie oglądałeś.

– To doprawdy urocze, gdy zbiera ci się na te wszystkie głupoty. Wprost wzruszające. – Głos Inskaya załamał się z rozpacz. – Serce podskakuje mi w piersi jak konik polny i tłucze się jak dzwonki na

szyjach stada krów na stoku. Poruszające, naprawdę, niczym słodkie kołysanki mojej ukochanej babuni. Nuciała mi je, zanim jeszcze całą rodzinę wycięto w pień – rodzinę i wszystkich, którzy mieli coś przeciw przymusowej pracy. Tylko ja z bratem uszliśmy z życiem; potem zaprowadzono nas do kopalń. Zapłakałbym z radości na myśl o świecie, gdyby nie to, że powieszą nas obu wraz z nastaniem nowego dnia. A na dodatek osobno: mnie o świecie, a ciebie po południu. Kto wie, może moglibyśmy się zamienić? Prawda, że nie zrobi ci to wielkiej różnicy, jeśli przyjdzie ci trochę wcześniej wyzionąć ducha? Dla takich jak ty to bez różnicy.

Błazen nie miał dzieci, nie miał na tym świecie absolutnie nikogo, z wyjątkiem wszy i kleszczy, którymi Inskay obdarował go w ciągu tych dwóch miesięcy, spędzonych we wspólnej celi. Nie trapiła go też myśl o konieczności pozostawienia najukochańszej córki, jeszcze dziecka, pod opieką nierozgarniętej matki na tym podłym świecie, gdzie roiło się od wilków, orków i ludzi, którzy ród karłów zmienili w ród niewolników, mający wkrótce przeistoczyć się w ród wymarłych.

– To już jutro nasza egzekucja? – Błazen uśmiechnął się radośnie. – Cóż, z całą pewnością będzie to coś nowego; coś, czego wcześniej nie widzieliśmy. A zatem pooglądamy ją sobie dokładnie. Jeśli masz zostać powieszony, przygotuj się odpowiednio na uroczysty moment, w którym lina zaciśnie się wokół twego sflaczałego karku – dodał wesołowato.

Inskay stracił panowanie nad sobą.

– Niech to diabli! – zaklął rozszłoszczony. – Nic, u licha, sobie nie pooglądamy! Wystarczy tych głupot. Będziemy mieć kaptury na głowach, zapomniałeś? Kaptury na głowach i kneble w ustach, żebyśmy nie mogli użyć naszych języków. Nie będziemy mogli nic powiedzieć. Zarządca nie przepada za dyskusjami na szubienicy. – Głos Inskaya drżał z wściekłości. Nieliczne, chwiejące się zęby, które ocalały po torturach, także zadrżały. – Uroczy kaptur na głowie i przepyszny kawałek drewna w ustach, przytrzymywany kawałkiem szmaty, owiązanej ciasno wokół głowy – powtórzył, powoli skandując słowa, uważnie, by język nie uderzał o poranione dziąsła.

Błazen był porządnym osobnikiem, naprawdę porządnym, Inskay nie potrafił już nawet zliczyć wszystkich przysług, które wyświadczył mu towarzysz niedoli. Bywały jednak i takie momenty, kiedy karzeł po prostu nie mógł już dłużej znieść dowcipnych uwag i głupkowatych dygresji.

- Nie będziemy już nawet mieć twarzy: mieć zasłoniętą twarz to jakby jej nie mieć. W usta wcisną nam przeżuty przez innych, obrzydliwy kawałek drewna. Językiem wyczuwamy miejsca, w które inni skazańcy wbijali swe siekacze, kiedy sznur zaciskał się im wokół szyi i kończyło się powietrze. Poczujemy smak ich śliny. Poczujemy smak krwi, nie wiedząc już, czy należy do nich, czy do nas. Pod kapturami wyczuwamy zapach potu tych, którzy zginęli przed nami. Staje się on ostrzejszy, gdy ktoś się boi. Smród pod kapturem musi być nie do wytrzymania. Może to ów odór nas zabije i nie trzeba nas będzie już wieszać. Te przeklęte łajdaki nie potrafią nawet robić porządnych pętli. Pętle zaciskają się i powoli duszą. Mnóstwo czasu upłynie, nim wreszcie umrzesz. Zaczyna ci brakować powietrza, więc trochę wierzgasz nogami, potem znów jeszcze trochę wierzgasz, a później, może, o ile wszystko dobrze pójdzie, udaje ci się wreszcie wyzionąć ducha. Ci, co ważą najwięcej, uwijają się najszybciej. My jesteśmy karłami. Wazymy niewiele. Nam zajmie to całą wieczność, z twarzą pośród cudzego smrodu i z posmakiem cudzej śliny i krwi w ustach. Będziemy mieć prawdziwe szczęście, jeśli udławimy się własnymi wymiocinami, zanim pętla zacznie zaciskać nam się na szyi.

Inskay urwał. Najchętniej ugryzłby się w język, ale ból zębów mocno mu dokuczał. Nie powinien był straszyć Błazna. Jaki to miało sens? Skoro tamten potrafił dodać sobie odwagi swoją niewartą złamanego grosza filozofią, to po co miał mu ją niszczyć? Skoro niedorzeczne opowiadki musiały czemuś służyć, niechby sobie bajdurzył, na zdrowie. Sęk w tym, że wściekłość jemu samemu odbierała zdrowy rozsądek. Wściekłość na to, że musi umrzeć; że tkwi w tej koszmarniej celi; że był na tyle głupi, by dać się złapać. Teraz nie będzie już mógł chronić ani swojej córki, ani swego ludu. Chciał żyć. Całe lata, całe dziesięciolecia. Tymczasem pozostała mu tylko wściekłość

i rychła śmierć. Nikt nie chciał umierać. Nawet ci, których nędzne życie wypełniała przymusowa praca w kopalniach. On miał coś więcej. Żonę, której towarzystwo nie było wcale lepsze od przymusowej pracy w kopalni, i córkę. Musiał wprawdzie znosić tę wstrętną jędrę, swoją teściową, wraz z całą jej rodziną, lecz córka dawała mu tyle szczęścia, że cierpliwie przyjmował całą resztę. Dumą napawało go, że udało mu się zachęcić swój ród do walki. To jednak nie usprawiedliwiało obecnego pastwienia się nad Błaznem, wręcz przeciwnie. Inskay często wybuchał gniewem, którego się później wstydził. Mimo to, za każdym razem, gdy tamten otwierał usta, gniew brał nad nim górę.

- Znasz tę historię o karle i indyku? - zapytał Błazen. Nie czekał, aż Inskay odpowie, i zaczął, cały podekscytowany: - Dobrze, a zatem był sobie raz karzeł, który musiał sprzedać indyka. Zazwyczaj żona chodziła na rynek, lecz teraz akurat rodziła ich dziecko. Karzeł po raz pierwszy idzie na targ i nie wie, ile indyk jest wart. Wychodząc z domu, zapomniał o to zapytać żonę - no bo wiesz, ona miała już bóle, była tam akuszerka i po prostu zapomniał. A zatem idzie na targ i nie wiedząc, ile zażądać za ptaka, szuka kogoś, kto handluje indykami, żeby pomógł mu ustalić odpowiednią cenę. Okazuje się, że tego dnia nikt nie sprzedaje indyków, lecz jest jeden starzec, który handluje słowikami. Małeńka klatka ze słowikiem w środku kosztuje trzy soldy. Karzeł ustawia się w pobliżu sprzedawcy słowików. W końcu zjawia się jakaś staruszka i pyta go, ile kosztuje indyk. „Trzy talary”, odpowiada karzeł. „Trzy talary za jednego indyka? Toć to rozbój w biały dzień”, mówi staruszka. Karzeł wskazuje małego słowika u sprzedawcy obok, a potem swojego dużego indyka. „Mój indyk jest sto razy większy od słowika, to sprawiedliwe, że kosztuje sto razy więcej niż on”, mówi. „Ale ten słowik śpiewa”, zauważa staruszka. „A mój indyk myśli”, odpowiada karzeł.

- Chyba posikam się ze śmiechu - powiedział cierpko Inskay. niewiele było rzeczy, których nienawidziłby równie mocno jak historijkę o indyku i karle. Była to przypowieść z gatunku tych, z których

wynikało jasno, że karły są skąpe i głupie. Od razu jednak pożałował swych słów. Co by go to kosztowało, udawać, że się śmieje? Choć ten jeden, ostatni raz!

Rozejrzał się wokoło.

Cela była wysoka i wąska, z podłogą w kształcie kwadratu, zbyt małą, aby nie tylko człowiek, lecz nawet przedstawiciel rodu karłów mógł się na niej położyć. Musieli cały czas siedzieć. W połowie wysokości celi znajdowała się antresola wielkości mniej więcej dwóch trzecich podłogi, z pryczą dla drugiego skazańca. Wdrapanie się na nią wymagało istic atletycznych zdolności, jako że po schodach nie pozostało nawet mgliste wspomnienie. Jeszcze wyżej znajdowało się ostatnie pięterko. Tam też umieszczono nocnik, a korzystanie z niego wymagało umiejętności nie tylko atletycznych, ale i akrobatycznych. Strażnicy opróżniali go raz na trzy dni, używając tego samego włazu, przez który dostarczali jedzenie – także raz na trzy dni, żeby im się nie pomyliło. Było tam również okno, tak wysokie i wąskie, że przypominało otwór strzelniczy. Drzwi składały się z dwóch skrzydeł: dolne było niziutkie i nawet oni mogli przecisnąć się przez nie tylko na czworakach. Przechodzili przez nie, idąc na przesłuchania. Kiedy odmawiali wyjścia, drzwi były otwierane w całości, strażnicy wkraczali do celi i siłą wywlekali więźniów na zewnątrz. Przedtem zazwyczaj garbowali im skórę, by nauczyć posłuszeństwa.

Gdyby nie Błazen, który używając własnej porcji wody, obmywał mu rany i poparzenia po przesłuchaniach i który wspinał się na ostatnie piętro, by przynieść stamtąd nocnik, Inskay zmuszony byłby brudzić siebie i ubranie, tracąc ostatnie resztki godności, jakie pozostały mu po przymusowej pracy i upokarzających torturach.

Inskay od zawsze nienawdził pionu i wysokości. Wysokie ściany bez schodów były dobre dla pajaków. Nienawdził ich, zanim jeszcze go pojмали, kiedy wciąż jeszcze miał kości w jednym kawałku i niestorturowane ciało.

Mówiło się, że karły pochodzą z jakiejś ziemi leżącej niedaleko płaskowyżu Alyil; łagodnego terenu, na którym rosły dębowe lasy przeplatane rozległymi polanami. Pod ową ziemią krył się labi-

rynt tuneli, które krzyżowały się w kopalniach. Porządny, poziomy świat.

Za to Alyil, miasto sokoła, było niesamowicie wysokie i pionowe. Ze swoimi murami z granitu oraz dachami z drewna i trzciny wznosiło się strzeliście ponad wszystko, co je na Ziemi ludzi otaczało.

Przestrzeń, a raczej jej brak, i grawitacja, a raczej jej natrętna obecność, stanowiły od zarania dziejów dwa główne problemy miasta. Nękały jego mieszkańców nawet wtedy, gdy wszystko jeszcze się dobrze układało; w spokojnych zamierzchłych czasach, które obecnie nie mogłyby się wydawać bardziej zamierzchłe. Mieszkańcy Alyil wegetowali w straszliwej ciasnocie. W obrębie przygotowujących o zawrót głowy murów obronnych wznosiły się wąskie i wyjątkowo wysokie domy; prawdziwe wieże składające się z niezliczonej liczby pięt, dobudowywanych latami, kawałek po kawałku. Świadczyły o tym niepasujące do siebie warstwy kamieni oraz niejednakowy kształt okien. Wąskie, strome schody pięły się po zewnętrznej stronie ścian budynków, aby nie zajmować miejsca w środku. Kręte niczym muszla ślimaka, zdobione i lekkie jak skrzydełka ważki schody były upiornie śliskie podczas mgły, deszczu, burzy śnieżnej, przymrozków, a także z powodu osiadającej na nich rosy. Można zatem powiedzieć, że śliskie były zawsze, może z wyjątkiem trzech środkowych dni lata. Budowniczości nie przewidzieli poręczy, może dlatego, że planowali zaoszczędzić na drewnie, a może po prostu dlatego, że nie chcieli zaburzyć ich zwiewnej konstrukcji. Miasto zostało wzniesione przez elfy kilka wieków temu. Najwidoczniej bawiły się one przednio, krążąc tam i z powrotem po tych swoich przeklętych schodach. Skakały sobie zapewne ze stopnia na stopień jak stado świerszczy. Ludzie, którzy elfy wytępilli, pewnie krążyli po ich schodach mniej, za to więcej przy tym przeklinali.

Inskay, tak jak wszystkie karły, był bardzo zwinny, ale i tak, jak wszystkie, nienawidził Alyil każdą cząstką swojej duszy zesłańca.

Zastanawiał się, czy elfy również wegetowały niegdyś stłoczone w tutejszych więzieniach, i czy te przekłete, pionowe cele także były ich dziełem. Wyobrażał sobie, jak długie elfickie ciała zwisają z sufi-

tów niczym nietoperze. Elfy miały pewnie niezłą zabawę, jak fruwały na pięterko, do nocnika. Oczywiście, pod warunkiem, że ten był im w ogóle potrzebny.

Mówiło się o nich, że są z powietrza i powietrzem żyją.

- Tak się zastanawiam - zaczął znów Błazen - czy katom płaci się od liczby obsłużonych skazańców, czy też otrzymują stałe wynagrodzenie. Jeden skazaniec tchu pozbawiony, jeden sold więcej zarobiony - zanucił monotonna.

Przez moment Inskay miał ochotę go zamordować, ale po pierwsze, nie starczyłoby mu na to siły, a po drugie, nie było powodu, dla którego miałby oszczędzać wysiłku katom.

- To fundamentalne pytanie - przytaknął Inskay. - I jak my teraz będziemy mogli spokojnie zdechnąć, nie znając na nie odpowiedzi? Gdyby nie ten kawałek drewna, który będziemy mieć w ustach, moglibyśmy zapytać o to jutro naszego osobistego kata.

- Moglibyśmy ich o to jutro zapytać. Jestem pewien, że będzie ich więcej niż jeden - odparł Błazen. - Poprawna forma to „moglibyśmy o to zapytać naszych katów”.

- Tak, teraz, gdy już to wiem, czuję się o wiele lepiej! - wybuchnął Inskay. - Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli z powrotem zacznę mówić o mojej śmierci? Bo widzisz... wybacz, ale to temat, który doprawdy mnie pasjonuje. Kiedy się urodziłem, dostałem ubrania po moich starszych braciach. Byłem jedenasty z kolei. Buty, o ile w ogóle miałem buty, były zawsze znoszone przez jednego ze starszych braci. Siekierkę dostałem po pradziadku. Toporek po stryjczym dziadku mojej żony - właściwie to stare dziadostwo, a nie toporek, tak dla jasności, bo generalnie wszystko, co pochodzi od tamtej części rodziny, jest wadliwe, zatechłe, koślawe, szkodliwe i bezużyteczne. Miło byłoby chociaż umrzeć na własny rachunek; być powieszonym na sznurze, który jest tylko dla mnie, w nowiu-sieńkim kapturze na głowie.

- Takie przywileje dotyczą jedynie królów.

- Litości! To powinno dotyczyć każdego. Człowiek umiera tylko jeden, jedyny raz w życiu. Karłowaty też.

- My nie jesteśmy karłowatymi.

- Tak, tak, wiem, już mi to tłumaczyłeś. Ja jestem Inskay, a ty jesteś Błazen, i jesteśmy panami z rodu karłów. Uwierz, że wolałem, gdy nazywano mnie karłowatym, ale byłem wolny. Czy jeśli nadmienię, że jestem Inskay, pan z rodu karłów, to dadzą mi nowiusienki kaptur?

- Już ci mówiłem, że tak postępują tylko z królami. Ale to nie jest ważne. Nawet śmierć nie jest tak ważna.

- Niech zgadnę, Błaznie... nie przeszkadza ci, kiedy nazywam cię Błaznem? A może przeszkadza? Nie chciałbym nikogo obrażać...

- Nie obrażasz mnie. Jestem Błaznem. Nie chcę innego imienia. Właśnie to imię uwielbiam.

- A więc, niech zgadnę, teraz wmówisz mi, że wiesz, czym jest śmierć, i powiesz, że śmierć to całkiem przyjemna sprawa. Co więcej, zaraz usłyszysz, że wieszając nas, wyświadczają nam wielką przysługę. A koniec końców okaże się, że robią to z czystej sympatii. Że śmierć to nic złego. Że to nieprawda, iż nic po niej nie ma, że nie zostaje po niej nic, jak nic nie zostaje po zjedzonym świnia-ku albo po młodych szczeniakach czy młodych kociętach, gdy się je utopi, nie mając co z nimi zrobić. Będziesz mnie przekonywał, że nie czeka nas ohydna męczarnia, a po niej cela gorsza niż ta, a może trochę lepsza, bo przecież jak już jest źle, to może być tylko lepiej, jakieś ciemne miejsce, gdzie demony nadziewają cię jak kapłona na rożen. A zatem jaka jest prawda? Czy śmierć oznacza, że powracamy do miejsca, z którego przybyliśmy? Samo światło i paki skąpane w rosie, kraina mlekiem i miodem płynąca? No oczywiście, jakżeby mogło być inaczej? Wyjaśnij mi tylko jedno: skoro to takie piękne miejsce, to czemu tak bardzo zwlekamy, by się w nim znaleźć? Skoro to coś tak wspaniałego, to dlaczego stamtąd odeszliśmy? A ściślej, kto kazał nam odejść? Po co to komu było potrzebne? Komu ja byłem potrzebny? I na co? Na co ma służyć moja jutrzejsza śmierć?

- „Czemu ma służyć moja jutrzejsza śmierć”.

- Czemu ma służyć moja jutrzejsza śmierć?

- Właśnie tak. Tak jest poprawnie. „Czemu ma służyć moja jutrzejsza śmierć”.

- Nie sądzę, bym popełnił poważne wykroczenie, ośmielając się tuż przed moim zawiśnięciem na szubienicy zapomnieć twoich lekcji języka.

- I moich lekcji logiki. Jeśli tak bardzo irytuje cię myśl o śmierci, to znaczy, że twoje przyście na świat i życie miały jakiś sens. Gdyby były go pozbawione, śmierć byłaby wyzwoleniem, nawet śmierć w kapturze, który śmierdzi cudzym strachem. Użalenie się nad życiem, a także nad jego końcem, byłoby niewybaczalnym błędem. Zmarnowalibyśmy tę odrobinę dobra, którą można by w tym wszystkim odnaleźć. Nie mogę sprawić, abys dostał nowy sznur; nie mogę sprawić, aby postanowili cię nie zabijać; nie wiem, czy kiedy będzie już po wszystkim, zastaniemy pąki skąpane w rosie, czy nie czeka nas kompletnie nic. Nie mam bladego pojęcia. Lecz jeśli chcesz, możemy przez całą noc kontynuować nasze lekcje. W ten sposób nie zmarnujemy czasu, który został nam dany. Nie umrzesz jak król, lecz będziesz po królewsku mówił i myślał. Królewski język osiąść to jak na królewskim tronie osiąść.

Na moment Inskayowi zabrakło słów. Jego wściekłość podryfowała gdzieś w stronę panującej w ich celi ciemności. To było nie do zniesienia. Nieznośna głupota, która próbowała stroić się w mądre piórka. Nie było żadnej niedorzeczności w oplakiwaniu rychłej utraty życia, nawet jeśli chodziło o życie, podczas którego musiało się walczyć o tak elementarne prawo, jak prawo do dalszego istnienia. Wściekłość płynąca z faktu, że tego prawa często nie szanowano, nie mogła osłabić pragnienia, by nadal żyć.

Po chwili jednak Inskay się uspokoił.

Tak, Błazen to osobliwy przypadek, ale wciąż pozostawał nieszkodliwym nieszczęśnikiem. Prawdziwy gniew budził w Inskayu Zarządca oraz jego kaci, i to dla nich właśnie powinien go zarezerwować.

Błazen uśmiechnął się.

- Opowiedz mi swoją historię - poprosił.

- A co cię ona obchodzi?

- Obchodzi mnie, i to nawet bardzo. Zaszczycem będzie móc ją poznać. Co więcej, gdybym wstąpił na szubienicę, nie poznawszy uprzednio twojej historii, to byłoby to dla mnie prawdziwą niesprawiedliwością.

- Nie mam zbyt wiele do opowiadania - odparł Inskay.

- Skąd pochodzisz?

- O to nie pytaj. Spędziliśmy dwa miesiące w tej celi, wyleczyłeś moje poparzenia, karmiłeś mnie, kiedy było ze mną tak źle, że nie mogłem się ruszyć, i gdyby nie ty, szczury zjadłyby mnie żywcem. Ale tego, gdzie żyją moi rodacy, nie wyjawię nikomu, nawet w momencie śmierci - zwłaszcza nie w jej momencie. Pojmali mnie, bo wygadał się jeden z naszych. Mogło do tego dojść tylko w trakcie tortur. Do ciebie mam zaufanie, lecz jeśli komukolwiek przyszłoby do głowy, że wiesz o mnie cokolwiek; jeśli udałoby mu się to z ciebie wydusić, moi ludzie znaleźliby się w niebezpieczeństwie, rozumiesz? Zarządca nie wybacza nieposłuszeństwa, a jego gniew dosięga także krewnych w pierwszej i drugiej linii tego, który mu posłuszeństwa odmawia. Gdybym był pradziadkiem, to być może moim prawnukom udałoby się owego gniewu uniknąć. Gdybym sam miał jeszcze pradziadka, on prawdopodobnie także by go uniknął. Za to wszyscy pomiędzy moimi prawnukami i moim pradziadkiem zostaliby niechybnie skazani na śmierć. Razem ze mną. Powiedzmy, że pochodzę z pewnej części tego świata. Jeśli chcesz, to ty opowiedz mi swoją historię, ale tylko pod warunkiem, że nie masz żadnych krewnych. W przeciwnym razie daj sobie spokój. Zapewniam cię, że tutejsi kaci potrafią być bardzo przekonujący. Jeśli chodzi o moje sprawy, to trzymałem usta na kłódkę. Nie gwarantuję, że uda mi się to również w przypadku cudzych spraw. Nie kuś mnie i nie opowiadaj nic, czego oni by już nie wiedzieli.

Inskay musiał się wysilić, by głos mu się nie załamał, gdy pomyślał o tym, który go zdradził. O tym jedynym, który znał jego kryjów-

kę, jedynym, który mógł udzielić wskazówek koniecznych, by ją odnaleźć. Tamten został złapany na dwa miesiące przed nim samym, powieszony parę dni przed jego aresztowaniem. Nie był po prostu „jednym z nich”, lecz jego rodzonym bratem, jedynym, który był od niego młodszy, i zarazem jedynym, który dożył tych mrocznych czasów. Obecnie nie było już na tym świecie ani jednego z braci Inskaya. Tym samym, dzięki Zarządcy, spełniło się jego marzenie z dzieciństwa, kiedy to wyobrażał sobie, że jest jedynakiem.

Błazen westchnął.

- Nikogo nie narażam. Jestem ostatnim z członków mojej rodziny i ostatnim z mieszkańców mej wioski. Nie pamiętam imion moich rodziców, czasem wydaje mi się, że wyskoczyłem po prostu z główki kapusty, jak w bajkach. Nie mam przyjaciół. Należę do Zarządcy od najmłodszych lat. Zostałem mu podarowany, kiedy miałem trzy lata, a on piętnaście. Trochę pamiętam jednak wioskę, z której pochodzę. Urodziłem się gdzieś pomiędzy bagnami Yukonu a kopalniami soli, znasz takie miejsce? - spytał.

- Nigdy tam nie byłem, ale wiem, o jakim miejscu mówisz. Mój ojciec pochodził z tamtych stron. Opowiadał mi o nich. Spośród wszystkich rodzajów kopalń, kopalnie soli są najpiękniejsze, jeszcze wspanialsze od kopalń diamentów, gdzie blask pojawia się tylko czasami. Kopalnie soli wyglądają, jakby wydrążono je w świetle: wystarczy płomień pochodni, by wszystko lśniło. Nie ślepniesz, tak jak w kopalniach siarki, gdzie opary prędkiej czy później niszczą ci oczy. Nie ryzykujesz śmierci w ogniu lub przez uduszenie, jak w kopalniach węgla. Kopalnie ołowiu, płynnego srebra i rtęci już po kilku dniach zgaszą tłące się wewnątrz ciebie życie, zmieniają cię w chodzącego trupa. Zabijają też dzieci w łonach matek.

- Tak, to prawda - przyznał Błazen. - Kopalnie soli są najpiękniejsze na świecie. Wspaniale jest także w nich mieszkać. Nie są głębokie, nie grożą zawaleniem. Zimą wypełnia je delikatne ciepło płynące od ziemi, latem jest w nich chłodno i sucho. No i sól - ze wszystkich kopalnianych surowców ten właśnie jest najbardziej potrzebny i najsmaczniejszy. Bez soli nie sposób przetrwać zimą. Tak, dobrze

pamiętam kopalnie. Swego czasu nikt nie przebywał pod ziemią cały dzień.

- Właśnie! To prawda! - krzyknął Inskay, przypominając sobie opowiadania zasłyszane od starszych. Błazen liczył sobie więcej lat niż on i znał czasy, które jemu były nieznane. - Ojciec mi o tym mówił. Nikt nie przebywał pod ziemią cały dzień.

- Wczesnym popołudniem wychodziło się na powierzchnię, był czas, żeby coś upolować i złowić. Nocą kładliśmy się spać w naszej wiosce, pod gołym niebem. Wcześniej wspólnie piekliśmy sobie naszą kolację nad ogniem, wokół którego się gromadziliśmy, by pogawędzić. Rankiem znów schodziliśmy się do kopalń. Najpierw udawaliśmy się nad strumyk, żeby się umyć i nabrać wody na herbatę. Herbatę grzaliśmy nad paleniskiem przy wejściu do kopalni, piekliśmy nad ogniem podpłomyki, po czym ruszaliśmy do pracy z pełnym żołądkiem. Było wspaniale. Miałem wtedy tylko dwa albo trzy lata, ale co nieco pamiętam.

- Powiedz mi, wiesz, czemu teraz praca jest przymusowa? - spytał Inskay. - Wiesz może, co oni robią z całą tą solą? I co, u licha, robią z całym żelazem i węglem z kopalń Północy? Nawet gdyby chcieli wybrukować nimi wszystkie drogi na ziemi Ludzi, to nie trzeba by tego było aż tyle; nawet gdyby to miała być droga stąd na Księżyc, cała z żelaza, węgla i soli. Ale ja już to wiem. Całe życie się nad tym zastanawiałem i wreszcie to rozgryzłem.

- Naprawdę? - spytał Błazen, zaskoczony, nie kryjąc podziwu. - Naprawdę? Ale tego nikt nie wie.

- To jest dla orków - wyrzucił z siebie Inskay triumfalnie.

- Dla orków? - Błazen wytrzeszczył swoje wielkie, niewinne oczy. - A orkowie co z tym wszystkim mają wspólnego?

- Orkowie przygotowują się na wojnę. Sól jest do wieprzowiny - bez zapasów wojska nie zajdą za daleko, a solona wieprzowina to wikt jak się patrzy. Widziałem ich, wiesz? Sześć miesięcy temu. Uciekałem właśnie, tak dla odmiany, i dotarłem aż do Złamanej Góry, ponad równiną orków. Aż mi dech zaparło, tyle tam było tych świń. Więcej niż gwiazd na niebie, więcej niż kwiatów na wios-

nę. Pełno świń, wszędzie, jak okiem sięgnąć. Najpiękniejszy widok, jakiego można by zapragnąć. Kiedy tak na nie patrzyłem, przyszło mi do głowy, że wystarczyłoby ich do wyżywienia całej armii. I nagle dotarło do mnie, że to była prawda. Skoro świnie mają być dla ludności, to po co trzymać je z dala od wszystkiego i wszystkie razem, w jednym miejscu? Normalnie każda rodzina trzyma własne świnie w pobliżu domu. Gdy zrozumiałem, do czego mogły być im one potrzebne, żołądek aż mi podszedł do gardła. Orkowie szykują się znów do ataku. Żelazo i węgiel są dla ich zbrojmistrzów, na broń i broń.

- Ale co to oznacza? - zapytał Błazen. Był poważny. Gdy robił się poważny, dawało się go znieść. Jego twarz nabierała niemalże inteligentnego wyrazu.

- Orkowie znowu się zbroją. My sprzedajemy im sól, żelazo i węgiel, a oni znowu się zbroją - powiedział Inskay powoli, skandując każdą kolejną sylabę tak, aby to, co mówił, nie pozostawiało żadnych wątpliwości, nie rodziło żadnych nieporozumień.

- Ty i ja niczego nikomu nie sprzedajemy. Nigdy niczego nie mieliśmy i nigdy niczego nie sprzedawaliśmy. - Błazen roześmiał się, cały uradowany. Inteligencja zniknęła, wyparowała niczym kropelka wody w słońcu.

Inskay westchnął. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym piękniejsza wydawała mu się wizja dzielenia celi z kimś normalnym. Może ktoś taki ukradłby mu chleb, kiedy po powrocie z przesłuchań Inskay leżałby umierający na podłodze. Ale z pewnością ktoś taki płakałby i kłął, więc mogliby robić to razem.

- Miałem na myśli nas jako przynależących do Świata ludzi - wyjaśnił cierpliwie.

- My nie jesteśmy ludźmi - sprzeciwił się Błazen. - Jesteśmy karzełkami, małutkimi karzełkami. Rzucamy kamyczkami, mówimy wierszykami.

- Czemu ty zawsze musisz na siłę kogoś rozśmieszać? - warknął Inskay.

Głupkowaty wyraz twarzy zniknął z oblicza Błazna.

- Rozśmieszanie innych to dar - usprawiedliwił się, upokorzony. - Gdy się śmiejemy, stajemy się silniejsi. Nawet ból staje się lżejszy, kiedy się śmiejesz.

Inskay pokręcił głową.

- Nie. Nie zawsze. Próbować rozśmieszyć kogoś w nieodpowiednim momencie, gdy ten ktoś jest zrozpaczony i próbuje powiedzieć ci coś ważnego, to tak, jakby nasikać mu do zupy.

Błazen aż się wzdrygnął.

- To brzydkie porównanie - zaoponował, oburzony.

Inskay wzruszył ramionami.

Błazen pokręcił głową.

- No dobrze, w przyszłości postaram się o tym pamiętać. Nie pozostało mi już za wiele tej przyszłości, więc powinno mi się udać - dodał, stając się nagle z powrotem poważny.

Być może jego męczące żarciki, podobnie jak przekłete upodobanie do rymów, nie były zamierzone. To musiało być skrzywienia zawodowe. Ramiona tych, którzy wymachiwali kilofem w kopalniach, robiły się ogromne jak pień drzewa. Umysł tego, kto robił za Błazna, na zawsze pozostawał stępiony na skutek konieczności ciągłego dowcipkowania, na dodatek wierszem.

Tym razem Inskay naprawdę się uśmiechnął.

- To prawda, nie jesteśmy ludźmi - zaczął znów łagodnie - lecz jesteśmy częścią ich świata. Jak to możliwe, że sprzedajemy to, co ma służyć naszej zagładzie? Orkowie włożą soloną wieprzowinę do swoich toreb i przybędą, aby zetrzeć nas na proch. W dłoniach dzierżyć będą siekiery, wykute w ogniu rozpalonym dzięki węglowi z naszych kopalń, odziani będą w zbroje zrobione z naszego żelaza.

- Jeżeli to, co mówisz, jest prawdą, to znaczy, że Zarządca stoi po ich stronie. Musi być przekonany, że prędzej czy później orkowie i tak zwyciężą, a on, jako ich sojusznik, skorzysta na ich zwycięstwach.

- Jeśli delikatnie obchodzisz się z wilkami, to zjedzą cię na końcu. To niezbyt inteligentny pomysł. Wilki należy pokonać, by ocalić stado. Zarządca nie grzeszy inteligencją. To nie tylko kompletny

łajdak, ale i kompletny kretyn. Od powstrzymania orków jest król Varil – odparł Inskay. Po raz pierwszy od dwóch miesięcy znów mówił z pasją. – Jest i królowa Daligar, ale ta żyje sobie nad swoją rzeką, zajęta swoimi sprawami. To króla Varil nam teraz trzeba. Mówią, że wyglądem przypomina niedźwiedzia i że potrafi walczyć. To on odparł natarcie orków, przeganiając ich dziewięć lat temu aż do samych granic, poza płaskowyż Złego Wiatru i Pontetremulo. Króla Varil nigdy jeszcze nikt nie pokonał. Król Varil znowu zwycięży.

Zapadło długie milczenie.

Inskay zniżył głos, mówił teraz ledwie dosłyszalnym szeptem:

– Gdy mnie pojмали, właśnie do niego zmierzałem. Chciałem go ostrzec, że orkowie szykują się do ataku. Ich nic nie powstrzyma, nigdy. Król przybyłby tutaj, by pokonać orków, i nas też by uwolnił. Ale to nic. Ja do niego nie dotarłem, lecz dotrze kto inny.

Błazen długo przypatrywał się towarzyszowi. Nagle jego twarz się rozpromieniła.

– Ależ oczywiście – powiedział zamyślony. – Masz rację. Nie jesteśmy zgubieni. Nie jesteście sami. Jest jeszcze król Varil.

Inskay poczuł naraz do Błazna wielką sympatię. Owszem, czasem był nie do zniesienia, lecz w głębi duszy zacna była z niego istota. Zrobiło mu się niezmiernie przykro z powodu cierpkich słów, które wypowiedział przed chwilą.

W oddali dało się słyszeć szczeł żelastwa, towarzyszący ruchom strażników. Szli po niego i znajdowali się na początku korytarza. Mógł spędzić z Błaznem już tylko parę chwil.

– Dlaczego zostałeś skazany na śmierć? – spytał. Jeszcze się tego nie dowiedział.

Błazen uśmiechnął się, onieśmielony.

– Poprosiłem Zarządcę, by nie skazywał na śmierć pewnej pomywaczki, która ukradła pół jagnięcego udźca. Chciała nakarmić nim swoje dzieci. Gdy próbowałem go przekonać, by darował biedaczce winę, wyrwało mi się „niesprawiedliwe” słowo. Nie wiem, jak to się mogło stać. – Błazen pokręcił głową, stroskany. – Wiesz, to wcale nie

do końca prawda, że nie boję się śmierci – wyrzucił z siebie jednym tchem.

- Niech to diabli! – wymamrotał Inskay. Wyciągnął okaleczoną dłoń i pogłaskał współwieżnia po głowie.

Podczas gdy odgłos zbliżających się kroków i szczęk żelastwa stały się coraz wyraźniejsze, Inskay próbował się skupić. Chciał jakoś pocieszyć Błazna. Przez cały ten czas, który przyszło im spędzić wspólnie w jednej celi, pragnął tylko jednego: by już dłużej nie musiał go znosić. Nawet wtedy, gdy tamten go karmił albo starał się leczyć jego dotkliwe rany. Teraz oddałby dosłownie wszystko, byleby tylko przynieść mu pociechę. Jak na złość nie mógł niczego zrobić; nie miał nic, nawet czasu. Żołnierze znajdowali się tuż przy ich drzwiach. Inskay objął Błazna. Nie znał nawet jego prawdziwego imienia. Gdy się tak nad tym zastanawiał, słowo „imię” rozbrzmiało w jego umyśle. To nieprawda, że nie miał niczego, co mógłby podarować Błaznowi. Miał wiarę.

- „Pan z rodu karłów” to piękna grzecznościowa formułka, lecz to nie jest nasze prawdziwe imię – wyszeptał, czule przyciskając towarzysza do piersi. - Nasze prawdziwe imię, w naszym prawdziwym języku, brzmi Helausi. Nie znaczyło ono bynajmniej „mały”, lecz „silny, wytrzymały”. Nasz ród to nie ród malutkich; to ród silnych, ród wytrzymałych. Wytrzymałość to nasza potęga i moc. Jesteśmy niestrudzeni. Albo inaczej: trudzimy się przecież, a jakże, ramiona bolą nas od wszystkich kamieni, które musieliśmy dźwignąć. Każdy kolejny krok jest męką dla naszych nóg, ale my się nie poddajemy. Gdy próbujemy biec, wyglądamy żałośnie i śmiesznie, lecz maszerować możemy całymi dniami, nie zatrzymując się na odpoczynek ani na sen. Nasza ziemia nazywała się Helausia i wciąż jeszcze istnieje w którejś części tego świata, choć nie wiem dokładnie gdzie. Pełna jest złotych siekier, które odkupią naszą wolność.

- Czy to prawda? – zapytał Błazen jednym tchem. - Mówisz to, żeby mnie pocieszyć, czy tak jest naprawdę? Mówisz poważnie, czy

to kolejna legenda, jedna z historyjek, które opowiada się dzieciom na dobranoc?

Strażnicy zatrzymali się. Z ich nawoływań dało się zrozumieć, że chcieli się napić piwa. Skazańcom pozostało trochę czasu.

- Pod powierzchnią naszej ziemi drzemią jeszcze pradawne kopalnie. Są opuszczone korytarze. A w nich znajduje się wszystko, co należało do naszego ludu: siekiery ze złota i srebra. Będziemy mogli je sprzedać i kupić sobie trochę ziemi. Wreszcie to nie nas będą kupować i sprzedawać.

Błazen nie wyglądał na przekonanego. Z powątpiewaniem pokręcił głową.

- To są historyjki dobre dla dzieci. Skoro byliśmy tak silni, dlaczego się nie broniliśmy? Dlaczego pozwoliliśmy zrobić z siebie stado przesiedleńców, w którym co szczęśliwsi robią za błaznów, a reszta umiera w kopalniach?

- Dochowasz tajemnicy? - spytał Inskay.

Tamten przytaknął.

- Aż do śmierci. Czyli nie na długo. - Uśmiechnął się, gdy to mówił, dumny z tej ostatniej dowcipnej uwagi. Z całą pewnością najlepiej, jaką wypowiedział, odkąd Inskay go poznał.

- Ci, którzy nas zgładzili, przybyli nocą, jak wilki. Ognie i konie pośród ciemności, po miesiącach układów, wzajemnych poselstw, pisania i otrzymywania rozlicznych pism. Wojna to rzecz przekłeta i gdy ze wszystkich sił marzy się o pokoju, można stać się bardziej naiwnym niż małe dziecko. Marzenia o życiu w pokoju sprawiają, że bierzemy wilki za psy pasterskie. Najgorsi spośród ludzi zawarli z orkami haniebnny pakt, a my nawet tego nie dostrzegliśmy i każdego, kto próbował nas ostrzec, braliśmy za szaleńca. Ziemia karłów leży gdzieś pomiędzy Ziemią ludzi i Ziemią orków. Rozciąga się między Alyil a północno-zachodnią częścią królestwa orków. Tam przecież znajdują się największe kopalnie żelaza i węgla. To musi być mały obszar, ta nasza ziemia, taki mały skrawek dla małych obywateli. I kryje w swym wnętrzu mnóstwo broni, broni niezwykłych. Ludzie przybyli z zachodu, orkowie ze wschodu. Nasi

nie zdążyli zejść do podziemnych korytarzy, będących jednocześnie kopalniami i zbrojowniami. Woleli dać się złapać, gotowi żyć na wygnaniu, niż doprowadzić wroga do skarbu. Sekret przekazywali z pokolenia na pokolenie, a on z biegiem lat stawał się coraz bardziej zawiły i niezrozumiały. My odkryliśmy go na nowo. Tunele skonstruowane są w taki sposób, by mogło w nich krążyć powietrze, zawsze świeże i nadające się do oddychania. U wylotu jednego z nich leży jezioro o krystalicznie czystej wodzie, w której odbija się kamienna nimfa. U wylotu innego znajdują się skały tworzące łuk. Wejście do tego korytarza usytuowano w miejscu, gdzie o świcie, podczas zrównania dnia z nocą, kończy się cień rzucany przez wyższą ze skał tworzących łuk.

Żołnierze byli już w celi. Chwycili Inskaya i skrępowali mu ręce na plecach. Wreszcie wywlekli go na zewnątrz. Inskay próbował się obejrzeć, by po raz ostatni zerknąć na Błazna, ale okazało się to niewykonalne, ponieważ strażnicy trzymali go w mocnym uścisku.

Kiedy go zabierali, Inskay, oprócz przerażenia na myśl o zbliżającej się śmierci, odczuł także ulgę. To koniec, nie będą go dłużej męczyć. Nie będzie już musiał zaciskać resztek zębów, by znieść kolejny ból. I odniósł zwycięstwo. Nie pisnął ani słowa. Nie musiał się już obawiać, że w majakach i w mękach dopuści się zdrady. Podczas tych dwóch miesięcy wyrwało mu się tylko imię córki. Wypowiedział je jeden, jedyny raz, gdy bredził w gorączce, a Błazen zwilżał mu czoło małą porcją swej wody.

Zwyciężył.

Oprawcy nie dowiedzą się, które z czterech plemion żyjących wciąż w Alyil – tylko one pozostały po rodzie karłów – było jego plemieniem.

Nawet ta skończona kanalia, Zarządca, nie mógł sprzedać ich orkom, nie posiadając żadnych dowodów zdrady z ich strony. Istniało Prawo. Prawo, spisane dwieście lat temu, zobowiązywało ludzi do chronienia karłów w zamian za ich pracę w kopalniach. Pracę, która z każdym kolejnym pokoleniem stawała się coraz częściej przymusowa, a coraz rzadziej płatna, przypominając w efekcie bardziej nie-

wolę niż wzajemną wymianę usług. Prawo nadal jednak głosiło, że karły nie są niewolnikami. Ludzie mieli obowiązek chronić je przed orkami.

Zarządca od dawna szukał byle pretekstu, by móc, dla osobistych korzyści finansowych, sprzedać orkom w niewolę choćby jedno plemię karłów. Ale bez powodu, bez niezbitych dowodów zdrady, nawet on nie mógł się tego dopuścić. Złamanie Prawa w mieście, w którym niezadowolenie czuło się na każdym kroku jeszcze intensywniej niż zapach kapuśniaku na jego zabłoconych ulicach, mogło być równie niebezpieczne jak iskra w suchym, piniowym lesie.

Inskay westchnął.

Zabiją go, ale nie zdołali złamać.

Na rondo Szubienicy, zamknięty w obrębie murów obronnych plac, doprowadzono go tuż przed świtem. Trząśnięcie z zimna, a zlodowaciały śnieg był istną torturą dla jego gołych stóp, pokrytych świeżymi wciąż ranami po poparzeniach. Mimo ciemności, pierwsi, przemarznięci przechodnie zaczęli już przygotowywać się do nadchodzącego dnia. Dotarłszy do szubienicy, mały oddział wojskowy zatrzymał się w oczekiwaniu na dalszy bieg wydarzeń. Szubienica, zbudowana na czterech palach i wyposażona w szerokie schody, opierała się o mury obronne w miejscu, w którym znajdował się niewielki otwór z drewnianą klapą. To stąd zrzucano trupy. Spadały w urwisko – wzdłuż stromej, niemal pionowej ściany. Urwisko całkowicie uniemożliwiało jakikolwiek atak na miasto od tej strony. Mały otwór w murach obronnych, służący do pozbywania się ciał, nie niweczył ich funkcji obronnej. W tym miejscu mury były nieco niższe niż gdzie indziej i wydawać by się mogło, że zbudowano je wyłącznie ze względów estetycznych, aby domknąć tworzony przez nie okrąg. Rondo Szubienicy było najmniej zacienionym placem Alyil i zapewne z tego względu to tutaj odbywał się targ.

Grupka służących w brudnych, szarawych tunikach, składająca się głównie z dzieci oraz paru karłów, zjawiła się, pchając taczki wypełnione brudnym śniegiem oraz łupinami kasztanów i głąbami

kapusty - resztkami po targach z poprzednich dni. Wystarczyło odsunąć klapę, by przez tę samą dziurę, przez którą wyrzucono zwłoki skazańców, pozbyć się z miasta wszystkich śmieci oraz nadmiaru śniegu. Ciało Inskaya, kolejny niepotrzebny odpadek, miało polecieć pionowo w dół urwiska. Może odbędzie się to bez żadnych przeszkód, a może truchło uderzy po drodze raz czy dwa o skały, by w końcu wylądować na śniegu. Łupiny z cebuli i skorupki z jajka miały być jedyną upamiętniającą jego śmierć płytą nagrobną.

Żołnierze rozpalili małe ognie, zbyt małe i nazbyt oddalone od Inskaya, by ten mógł poczuć ciepło płomieni. Na placu zrobiło się widniej i zarazem tłoczniej. Widmo bladego, dalekiego słońca weszło na zamglonym, szarym niebie. Inskay drżał, zimno przesywało każdą cząsteczkę jego wychudzonego ciała. Nie czuł już własnych stóp i przez moment pomyślał o tym, jak bardzo bolesne będzie wrażenie miliona wbijających się w nie szpilek, gdy przyjdzie mu je oderwać od zamarzniętego śniegu. Po chwili przypomniał sobie jednak, że już do tego nie dojdzie. Jego życie kończyło się bowiem w tym właśnie miejscu.

Grupa chłopców zabawiła się, rzucając śnieżkami w skazańca, i była to jedyna oznaka zainteresowania ze strony obywateli miasta.

Na targowisku pojawiło się kilku wieśniaków ciągnących na poobijanych wózkach swoje nieliczne towary i rozpoczął się handel kasztanami, pomarszczonymi jabłkami, drewnem na opał, kozimi serami, różnymi odmianami kapusty oraz cebulą.

Inskay poczuł wzbierającą nienawiść. Nie tylko do żołnierzy, którzy jeszcze się nie zjawili; nie tylko do Zarządcy, którego w życiu nie widział na oczy.

Swą nienawiść skierował teraz do wszystkich, którzy mieli pozostać przy życiu. Spojrzał na każdego z osobna i każdego z osobna znienawidził: staruszkę o trzęsących się dłoniach, wysokiego młodzieńca, który sprzedawał ser, dwóch chłopców, którzy kucając w śniegu, rozpoczęli grę, w której za pomocą dwóch orzechów trzeba było uderzyć ten trzeci. Inskay znienawidził ich wszystkich, bez wyjątku.

## Spis rzeczy

1. Król zdrajców  
9
2. Księżę wszystkich ułomnych  
51
3. Królowa pszczół  
93
4. Król Umarłych  
124
5. Ucieczka  
157
6. Królowa Daligar, wojowniczką Ziemi ludzi  
170
7. Godzina próby  
199
8. Władczyni gęsi i świń  
224
9. Król orków północnego zachodu  
230
10. Godzina bohaterów  
246
11. Mleko i miód  
292

12. Podorkowie, książęta kopalń  
297
13. Mała Władczyni Niedźwiedzia  
350
14. Król Ziemi ludzi  
358
15. Niepodważalna władczyni brudnych garów  
367
16. Kocham cię, moja pani  
370
17. Przeklęty król wszystkich szczurów  
384
18. Król głupiutkich gąsek. A może nie  
403
19. Władczyni wojsk  
422
20. Powrót króla  
445
21. Król rodu karłów  
470
22. Księżniczka onyksów, królowa sług,  
wielka władczyni rodu karłów  
485
23. Królowa ludu orków  
511
24. Książę z bajki w błękitnych szatach  
527

25. Nieprawdopodobni, uparci bohaterowie

537

26. Dowódca ludzi

544

27. Pierwszy król karłów

567

28. Ostatnia czarownica

589

Przekład: Anna Filip

Redaktor serii: Natalia Sikora

Redakcja: Anna Adamiak

Korekta: Jadwiga Piller, Elżbieta Jaroszuk

Projekt okładki i stron tytułowych: Studio *Page Graph*

Ilustracja na okładce: © Gianni De Conno

Wydawnictwo W.A.B.

02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5

tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

wab@wab.com.pl

www.wab.com.pl

Skład i łamanie: Tekst – Małgorzata Krzywicka

Piaseczno, Żólkiewskiego 7a

ISBN 978-83-7747-289-7

Silvana De Mari wykorzystuje  
konwencję baśni, by opowiadać  
o sprawach całkiem rzeczywistych.

Philip Pullman

Z recenzji poprzednich tomów:

Powieści Silwany De Mari należą  
do gatunku książek niebezpiecznych.  
Nie rozumiem więc, dlaczego wydawca  
nie umieścił na okładce ostrzeżenia:  
„Uwaga, dobra literatura uzależnia!”.  
A tak zupełnie poważnie, trzeba przy-  
znać, że włoska pisarka posiada naprawdę  
niezwykły dar. Jej dotychczasowe książki  
o ostatnim elfie, ostatnim smoku  
i ostatnim orku czyta się jak baśń,  
przeżywa jak dobre kino akcji i rozważa  
jak przypowieść o dobru i złu. Autorce  
udało się wykreować rzeczywistość,  
którą można odbierać na różnych  
płaszczyznach, w zależności od wieku  
czytelnika.

Iwona Szajner, [kulturaonline.pl](http://kulturaonline.pl)

Dalszy ciąg przygód bohaterów

*Ostatniego elfa, Ostatniego smoka i Ostatniego orka.*

Więzienie, noc. Dwóch samotnych karłów poznaje się w celi śmierci. Niespodziewanie ktoś ratuje ich przed tragicznym losem.

Od tej chwili chcą walczyć razem. Ale czy mogą sobie nawzajem ufać? Ich przeciwnikiem jest Zarządca, który zbratał się z największymi wrogami ludzi i karłów – orkami.

Kto zwycięży? Za jaką cenę?

Stawka jest większa niż życie dwóch istot...